

Szczurołap

21 lipca 2011

Człowiek o nikczemnej twarzy zasiadł nad brzegiem Wezery i wyjął zza pasa puszczalkę ze szczurzej kości. Było ciepłe przedpołudnie czerwcowe, a cel widniał na horyzoncie. Perspektywa spędzenia nocy w cieple a może i w ramionach jakiejś hożej dziewczoi z szynku rozleniwiła go. Zdjął barwny kaptur z głowy i legł w nadrzecznej trawie, brudną twarz skierował ku słońcu. W takie dni promienie pieszczą każde oblicze bez wyjątku.

W cieniu murów miasta Hameln bawił się mały Jonas. Urządzał zaślubiny szczurów i nie przeszkadzało mu to, że oba są martwe. Pochłonięty zabawą nie zwracał uwagi na wielką krzątanię. Za tydzień odbędzie się doroczny festyn z okazji święta Pawła i Jana, zjeżdżali się kupcy, sztukmistrze, chłopci, rzemieślnicy i oszuści. Heroldowie pokrzykiwali w ciżbie, powozy ciągnęły do miasta, które powoli zaczynała ogarniać gorączkowa atmosfera wielkiego święta.

Znudzony zabawą chłopiec wmieszał się w barwny tłum. Przeciskał się między spoconymi ludźmi i końmi z klapkami na oczach, słyszał gwar tysiąca głosów i tysiąca języków świata. Skojarzyło mu się to nagle z Wieżą Babel, o której słyszał kiedyś na mszy. Jonas pchał się uparcie, po chwili puścił się biegiem w boczną uliczkę. Przystanął zdyszany, rozejrzał się wokoło i postąpił jeszcze kilka kroków, by znaleźć się w najciemniejszym zaułku najciemniejszej uliczki Hameln. Nadepnął jednak na coś miękkiego i natychmiast odskoczył, bo było to ciało. Musiało leżeć tu dość długo, zdążyły rozszarpać je bezpańskie psy, a oczy wyjadły szczury. Nad zewłokiem unosiły się z brzęczeniem wielkie muchy. Smród panował niemiłosierny, nawet jak na Hameln. Jonas uciekł przerażony w bramę jednej z kamienic i dopiero tam wyciągnął z kieszeni swoją zdobycz: dwie bułki ukradzione przekupie spod ratusza. Wyobrażał sobie radość matki na widok rumianych chrupiących

bułeczek. Zapomniał już o zmasakrowanym ciele, zapach jedzenia zagłuszył smród zwłok. Jonas schował łup i w podskokach pobiegł do domu po kocich łbach.

Człowiek w kolorowym lecz brudnym płaszczu szedł niespiesznie wzdłuż Wezery, po czym odbił w kierunku zachodniej bramy miasta. Kroczył spokojnie, z pobłażliwym uśmiechem na twarzy. Pomimo, iż miał ze sobą już tylko kilka miedziaków, flecik i nóż, był pewien, że tam, gdzie zmierza, nie zabraknie mu niczego. Znów ujął pieśzczotliwie swój instrument. Przeczyścił go mocnym dmuchnięciem. Ptactwo siedzące na drzewach poderwało się do lotu, spłoszone przenikliwym dźwiękiem piszczałki. Kilka ptaków nie zdążyło w pełni rozwinąć skrzydeł, padły martwe u podnóży drzewa. Mężczyzna roześmiał się, zadowolony, że jego instrument gra jak należy. Wędrował różnym ale spokojnym krokiem. Miasto majaczące na horyzoncie wstrzymało oddech oczekując na człowieka w płaszczu błazna.

– Najrozsądniej będzie ujść z miasta, Ekscelencjo – medyk skłonił się w pas. – I to jak najszybciej.

– Tak, tak! – zagdakał drugi. – Nie ma na co czekać. Posłaliśmy gońca, by znalazł, kogo trzeba... ale nie watro ryzykować. Astrologowie wieszczą klęskę.

Biskup zmieszał się lekko na wzmiankę o astrologu, nie uchodziło mu słuchać podobnych zabobonnych przepowiedni. Zakaszał nerwowo i poprawił wysadzany kosztownościami pas. Uniósł roztrzęsioną dłoń o napuchniętych palcach, strojną sygnetami. Otarł jedwabną chustką czoło zroszone potem. Nadliczbowe podbródki drżały mu spazmatycznie, gdy przyzwalając kiwał głową.

Miasto przywitało go odorem zwierzęcych i ludzkich fekaliiów, potu, brudu i ubóstwa. Skrzywił się, wspominając niedawny lekki wietrzyk i słoneczny blask płasający po wodach Wezery. Teraz złocista tarcza chyliła się ku zachodowi, wschód zabarwił się granatowo, zapraszając nieśmiałe wieczorne

gwiazdy.

Wędrowiec był tutaj pierwszy raz. Nie miał jednak problemu z odnalezieniem karczmy. Kierował się hałasami: okrzykami, muzyką i wściekłymi wybuchami śmiechu. W ten sposób szybko dotarł do drzwi szynku o wymownej nazwie „Pod Dorodnym...”. Ostatni człon napisu na szyldzie zatarł się, pozostawiając pole do popisu wyobraźni. Kamienica, w której mieścił się przybytek, była licha i obdrapana. Pomimo wzmocnień, jedna ściana podejrzenie chyliła się ku wąskiej bocznej uliczce.

Człowiek w barwnym stroju uśmiechnął się drwiąco. Wiedział, że jest we właściwym miejscu i że go oczekują. Pewnym ruchem otworzył koślawe drzwi. W tym samym momencie został siłą wciągnięty w pijany korowód i krąg mdłego światła pochodni. Ktoś uściskał go serdecznie, ktoś wycałował oba pokryte zarostem i brudem policzki; ktoś porwał do tańca, ktoś usadził na ławie, polał trójniaka. Mężczyzna nerwowym ruchem otrząsnął się z natłoku gościnnych drżących rąk. Wstał i roztrącając pograżony w piwno-miodowym błogostanie motłoch, podszedł do lady, za którą stała szynkarka.

Była to szynkarka zupełna i absolutna: o topornej twarzy i dobitnym biuście. Silna, rzeczowa i pozbawiona złudzeń. Znała swój fach i nie przejmowała się okrzykami pijanych gości oraz podszczypywaniem i innymi przejawami sympatii.

Spojrzała na przybysza bez zdumienia.

– Ekscelencja oczekuje cię w pokoju na piętrze. Ale dopiero za dwie godziny – poinformowała. – Pokazać? – zapytała wieloznacznie, mierząc wzrokiem młode męskie ciało stojące przed nią.

Dostrzegł jej szybkie spojrzenie i mimowolny uśmiech. Wypłynął na jej twarz, wyrażając oczekiwanie i zadowolenie. Ujęła go za rękę, w drugą wzięła latarnię i wyszli cicho na schody prowadzące do kwater znajdujących się piętro wyżej.

Pokój był mały i zadbane, najwyraźniej przeznaczony dla czcigodniejszych gości, to znaczy takich, którzy mogli sobie pozwolić na coś więcej, niż spanie na ziemi we wspólnej izbie. Wyposażenie stanowiło łóżko, krzesło, stół i miednica. Ściany zdobiły kilimy przywiezione przez kupców z tajemniczego wschodu.

Kobiecie nie przeszkadzał brud przybysza, ani jego nieciekawych zapach. Zbliżyła się do niego śmiało i bez zbędnych wstępów. On również nie potrzebował rozmów. Zbyt długo wędrował samotnie.

Po kwadransie szynkarka wróciła do obowiązków, zostawiając uśpionego mężczyznę w sponiewieranej pościeli.

Ze snu wybudziło go czyjeś natrętne chrząkanie. Ocknął się nieprzytomnie, odruchowo sięgając do kieszeni, w której spoczywał nóż. Uświadomił sobie nagle, że ma opuszczone spodnie. Podciągnął je bez cienia skrępowania, poprawił pas. Pamięć zaczęła mu wracać, zrozumiał więc, kim jest chrząkający przybysz. Usiadł na łóżku, szeroko rozstawiając nogi. Na twarz wypełzł mu najpodlejszy uśmiech, jaki jego gość kiedykolwiek widział, a widział wielu okrutników: lichwiarzy, szalbierzy, kłamców, sodomitów, zatwardziały heretyków i bezwstydne czarownice. Teraz jednak przerażony cofnął się niezdarnie pod drzwi.

– Czy uchodzi tak Ekscelencji chrząkać jak prosiak? – zapytał szyderczo siedzący.

Biskup westchnął. Został rozpoznany, rzucił więc buri płaszcz dotąd skrywający całą postać i oblicze, odsłaniając purpurę i złote wisioły na lichej piersi. W ogóle był to człowiek lichy, nędznej postury, o ziemistej niezdrowej cerze i haczykowatym nosie. Jego świńskie oczka tonęły w fałdach i zmarszczkach, wiecznie zmęczona twarz i napuchnięte palce nosiły znamiona ciężkiej choroby. Wyglądał na znacznie starszego, przygarbionego i trzęsącego się. Wierni bali się go i pogardzali nim, słuchając

siarczystych kazań, podczas których upajał się własnymi słowami i zachłystywał wymienianiem zbrodni, których dopuszczała się jego owczarnia. Teraz onieśmielony i zażenowany usiadł na krześle jak uczeń w oślej ławie.

– Słucham – ponaglał go człowiek siedzący naprzeciw.

– Chodzi o szczury, proszę wielmożnego pana. Zaległy się w mieście. Wyżerają zapasy, niszczą spichlerze. Podobno były przypadki ataków na niemowlęta, ale to tylko w uboższych częściach miasta – przez chorą twarz przebiegł mu grymas, jego dłoń wykonała niewielki, ale lekceważący ruch, biskup nigdy nie interesował się przedmieściami. Skłonił się poufale ku rozmówcy. – Medycy mówią, że za szczurami podąża mór – powiedział, ścisząc głos. Rozejrzał się nerwowo, chcąc upewnić się, że nikt powołany nie słyszy wielkiej tajemnicy. – Truliśmy je wszystkim, i cyjankiem, i trupim jadem, i wodą święconą, ale one nic, czarcie pomioty! – biskup aż splunął na myśl o siłach ciemności, które opanowały jego miasto. Przez głowę przemknęło mu, że człowiek siedzący naprzeciw też jest z piekła rodem i trzeba będzie go spalić jak tylko wykona swój obowiązek. – Wiemy, że wielmożny pan potrafi hołotę tępić.

Powinienem ciebie wprzód wytępić, pomyślał mężczyzna na łóżku.

– Owszem.

– A jak pan to robi, panie Szczurołapie?

– Proszę przyprowadzić psa.

Biskup zmieszał się. Czy uchodziło duchownemu za psami biegać? Czuł jednak respekt wobec gościa i wyszedł na chwilę, by znaleźć kogoś, kto go wyręczy. Po chwili wrócił ze starym kulawym kundlem, który od lat kręcił się w okolicach karczmy „Pod Dorodnym...”, licząc na ochłapy wyrzucane przez kuchenne okno. Na ogół jednak dostawał kopniaki od pijanych gości.

– No więc mogę szczury na dwa sposoby unieszkodliwić – mówił

Szczurołap, przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu piszczałki – proszę popatrzeć, Ekscelencjo.

Flecista dobył instrumentu i przytknął go do warg. Przymknął oczy i dmuchnął lekko. Pies obrócił pysk w jego stronę, nagle czujny. Grajek wyszedł na korytarz, a kundel natychmiast podążył za nim. Obeszli wspólnie całe piętro, po czym wrócili do pokoju. Jednostajna melodia ustała, zwierzę potrząsnęło łbem, jakby chciało wybudzić się ze snu.

– Dobra psina – pochwalił go szczurołap, klepiąc po łbie. Pies zamerdał ogonem z wdzięczności za pieszczotę, której nie zaznał od lat i najprawdopodobniej nie zazna już nigdy więcej.

– No więc to jest sposób pierwszy – uprzejmie wyjaśnił Szczurołap. Biskup stał bez ruchu jak słup soli, patrząc na obcego przybysza z nieukrywany przerażeniem. Nie mógł wydobyć słowa.

– Druga metoda – kontynuował niewzruszony Szczurołap – jest następująca.

Niedbałym ruchem podniósł instrument do ust i dmuchnął lekko. Przenikliwy pisk na granicy słyszalności ogłuszył duchownego. Zapominając o swoim uświęconym majestacie, zasłonił uszy dłońmi i zacisnął mocno powieki, jak małe dziecko sądzące, że staje się niewidzialne, gdy zamknie oczy. Gdy się ocknął, pies leżał martwy u jego stóp. W tym momencie pragnął już tylko jednego: pobiec stąd jak najszybciej wprost do Trybunału Inkwizycji. Ten człowiek to ojciec czarciego plemienia. Teraz myśl o groźnych czarownicach zatruwających sąsiadkom mleko wydała mu się błaha i bez znaczenia. Oto stał w obliczu piekielnej grozy.

Piekielna groza nie przestawała uśmieszać się lekko, widząc przerażenie kapłana i jego bezradność.

– To jak sobie życzyacie? – widząc, że biskup nie jest w stanie nic rozsądnego powiedzieć, zaproponował rzeczowo – Opcja

pierwsza jest stosowniejsza w waszych warunkach, nie będziecie musieli martwić się szczurzymi trupkami gnijącymi na ulicach. Odwiedzę was jutro. A teraz idźcie się wyspać. Widzę, że byliście bardzo przywiązani do pieska. Proszę go ze sobą zabrać. Dobranoc.

Z tymi słowy Szczurołap legł na łożo i odwrócił się twarzą ku ścianie. Biskupowi nie pozostawało nic innego, jak tylko wysłuchać polecenia przybysza. Przywdział na powrót obszerny bury płaszcz z kapturem, wziął zdechłego psa i wyszedł, potykając się o próg.

– Mieszkańcy Hameln! Oto stoi obok mnie nasz wybawca. Namaszczony przez Boga, pełen ducha i łaski, odegna od naszego miasta siły ciemności, zmaże nasze grzechy i zjedna nam łaskę u Pana i Najświętszej Panienki, którzy z trwogą i gniewem spoglądają na nasze występki. Demony i szatani pod przybraniem szczura opanowali miasto, ale on jak Mesjasz odegna Zło modlitwą i postem! A my ukorzymy się i nie szczędźmy popiołu na głowy i grosza do skarbony! – z tymi słowy biskup spektakularnym gestem przyprószył łysiejącą głowę garstką popiołu. – Jeźdźcy apokalipsy, Mór i Głód, przemierzają ulice Hameln na szczurzych grzbietach, zabierając nam dzieci, rodziców, mężów i żony, zostawiając za sobą sieroty, wdowy i samotników, płacz, lament i zgrzytanie zębów! Plagi egipskie dosięgły was, grzesznych i wyuzdanych, bezwstydną dziwką, złodziei i lichwiarzy! Przez was to Mór na oślep gna miastem, wypełza z rynsztoków, wyżera życiodajne zboże prowadząc za sobą Głód! Popiołu, popiołu na głowy, mówię ja! Wasz pasterz i przewodnik. Ja wam mówię, Dzień Sądu jest bliski, a Pan rozpozna swoich! Ja na was patrzę, Chrystus i Przenajświętsza Panienka, oraz święci Paweł i Jan patrzą na was z góry i przyzwalają szatanom, by was doświadczyli, wy, wy grzesznicy i heretycy! Ale ten oto, stojący przy mnie, ustrzeże nas przed grzechem i karą, jak Mesjasz dobry i cierpliwy odegna szczurzą śmierć i zjedna nam niebiosy! Módlcie się do świętego Jana i świętego Pawła, i nie szczędźcie popiołu i jałmużny i hojnej

nagrody dla naszego pokornego wybawiciela! Pokonajcie swoje skąpstwo w obliczu śmierci i majestatu!

Biskup zagalopował się w kazaniu, przemawiał gestykulując gwałtownie, krzyczał na całą katedrę, używając jak najdobitniejszych słów. W pamięci miał poranną rozmowę ze Szczurołapem, który zażyczył sobie pięciuset sztuk złota za wyplenienie szczurzej zarazy. Dlatego też należało jak najszybciej zdobyć środki do opłacenia niebezpiecznego maga. Duchowny ocknął się z niemiłych wspomnień i zauważył z zadowoleniem, że kobiety szlochają histerycznie, a pobladli mężczyźni sięgają do kies.

Szczurołap wyszedł z katedry przez zakrystię i udał się na zwiedzanie obcego sobie miasta, chcąc poznać kryjówki szczurów i wytyczyć trasę swojego – był tego pewien – tryumfalnego pochodu. Pomimo wczesnej pory całe miasto już go znało, mieszczanie spoglądali na niego z lękiem, przechodzili na drugą stronę ulicy i pokazywali sobie palcami. Gdy poznał już główne ulice i rynek, skierował się w mroczne nawet za dnia zaułki i zakamarki. Tam na kocich łbach leżały zwłoki i umierający nędzarze, a szczury z piskiem umykały spod nóg, a te, które nie zdążyły, ginęły pod ciężkimi butami. Szczurołap sięgnął po flet i wydał przenikliwy pisk, uśmiercając kilkanaście zwierząt i litościwie skracając męki dogorywających na ulicach żywych trupów. Po godzinie wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. Wrócił więc do karczmy „Pod Dorodnym...”, gdzie jadł i pił na koszt biskupa, nie żałował więc sobie niczego. Szynek o tej porze był pusty, tylko kobieta za ladą posyłała Szczurołapowi uwodzicielskie spojrzenia, zupełnie nie pasujące do topornej twarzy. Mężczyzna odwracał głowę z niesmakiem, ilekroć ich spojrzenia zetknęły się. Nie chciał mieć z karczmarką nic wspólnego.

– To dla nas wielki dzień! Za kilka chwil ten oto tu stojący wybawi nas od podstępnej czarciej plagi! – Biskup nerwowo przetarł spocone czoło, wspominając uśmierconego psa. Zastanawiał się, czy dobrze robi, powierzając los swoich

wiernych temu niebezpiecznemu dziwakowi, pochodzącemu wprost z Otchłani. Zacisnął mocniej dłoń na sakiewce ukrytej pod połami purpury. Pod palcami chrzęściło pięćset złotych monet. To uspokoiło go nieco.

– Nie trwóźcie się, odegnaście nieufność! Ten człowiek, pomimo swojego podłego wyglądu, który stanowi jego krzyż i próbę, jest oblubieńcem Chrystusa! Patrzcie na jego sińce pod oczami, na pooraną zmartwieniami Hameln i świata twarz! Pościł czterdzieści dni, jak Pan nasz umiłowany, i nie spał całą noc, pogrążony w modlitwie!

Szczurołap nie miał żadnych sińców, był też normalnie odżywiony. Jego twarz nie była zmartwiona, tylko zacięta, patrzyła na zgromadzony tłum z wyższością i pogardą, a gdzie padło jego spojrzenie, tam w źrenicach prostaczków malował się lęk. Nerwowym ruchem odwracali wzrok, nie dowierzając temu dziwnemu człowiekowi w brudnym błazeńskim stroju. Słyszeli, że umie zabijać spojrzeniem, i uwodzić kobiety nie zbliżając się do nich, tak szeptem mówiła karczmarka, i tak szeptem powtarzało całe miasto. Umiał być w kilku miejscach jednocześnie, umiał obyć się bez jedzenia i picia i nie chodził do kościoła. Wyglądał strasznie, jednocześnie przyciągając wzrok, mrużył oczy, w których igrało przedpołudniowe słońce, czyniąc je ostrymi i przejrzystymi jak szybki witraży w katedrze. Wiatr strącił mu z głowy kaptur i bawił się długimi włosami.

– Może się wam wydać przerażający, ale ręka Pana jest z nim! A teraz, do dzieła!

Ludzie trwożliwie rozstąpili się, zostawiając środek rynku i ulic wolny. Mężczyzna wyciągnął flet i sprawnie zeskoczył z podwyższenia, na którym stał z kapłanem. Duchowny tymczasem wymknął się tyłem, narzucił bury płaszcz, dosiadł konia i, niedostrzeżony, szybko oddalił się ku wschodniej bramie miasta.

Szczurołap przytknął fujarkę do ust. Nad tłum wzbilo się głośnie westchnienie i zaległa martwa cisza – ludzie wstrzymali dech. Powinni teraz rozbiec się w panice, jak stadko kurcząt, ale ciekawość zagłuszała strach. Nagle powietrze zaczął wypełniać wibrujący dźwięk. Rozlegał się coraz donośniej, odbijając się od ścian kamienic, narastający, spotęgowany echem. Powoli w szczelinach i zakamarkach dał się dostrzec ruch, początkowo nieśmiały lecz coraz wyraźniejszy. Szczury wypełzały ze swoich kryjówek, kołysząc się jak w pijackim amoku, ciągnęły sznurem, towarzyszył im cichy pisk. Było ich wciąż więcej i więcej, nieprawdopodobnie dużo, a końca nie było widać. Nagle melodia fletu wzbila się i zdziczała, tłum zafalował nerwowo i szczurołap ruszył na zachód, wraz z całym miastem ludzi i tratujących się w szale szczurów. Pochód rozrastał się stopniowo, ludzie wychylali głowy z okien i wychodzili, dołączając do procesji, szczury wynurzały się z rynsztoków i upojone melodią fletu ciągnęły za tłumami. Pisk zwierząt zagłuszył melodię fletu, ale to nie miało już znaczenia: szczury całego Hameln spieszenie podążały za człowiekiem z instrumentem, przemykały jak szare czyścicowe dusze, ginąc pod nogami tłumu. Ludzie szli w milczeniu, oszołomieni, i już nie mieli wątpliwości, że ich duszpasterz dopuścił się kłamstwa, jednak bojaźń boża kazała im spychać ten fakt wgłąb świadomości, podobnie, jak wszelkie inne wątpliwości i przemyślenia. Człowiek prowadzący pochód to najprawdziwszy diabeł.

Czarcia procesja dotarła do zachodniej bramy i do brzegu Wezery. Tam Szczurołap na chwilę odjął flet od warg i zrzucił odzienie. Matrony w białych czepcach i nieśmiałe dziewczice odwracały wzrok, całe spłonione. Nagi mężczyzna wchodził powoli do wody. Gdy zanurzył się po pierś, wydobył z fletu melodię tak pulsującą i szaloną, jakiej nikt przedtem i potem w Hameln nie słyszał. Szczury rzuciły się w kierunku źródła dźwięku. W ostatniej chwili pojmowały błąd i przytomniały, ale było za późno. Tonęły z ogromnym piskiem, a nurt niósł je lekko. Stopniowo wszystko cichło, piski i melodia. W końcu na

ładzie nie było już ani jednego szczura. Bezwstydnie nagi mężczyzna wyszedł z wody, ubrał się, i skierował kroki ku zachodniej bramie miasta Hameln, a tłum podążył za nim w całkowitym milczeniu.

– Jego Ekscelencja jest chwilowo niedysponowany – powiedział oficjalnie wikariusz.

– Chcę swoich pieniędzy, co mnie obchodzi wasza ekscelencja – wysyczał Szczurołap. Był zmęczony odgrywaniem charyzmatycznego zimnego przywódcy, mimo iż lubił tę rolę. Teraz jednak chciał już tylko opuścić to cuchnące miasto – Gdzie moja zapłata? – zapytał z pałającym wzrokiem.

– Nic nie wiem o żadnych pieniądzach – chmurnie odrzekł młody duchowny.

Szczurołap darował sobie dalszą konwersację. Odszedł, stawiając gniewnie długie i szybkie kroki. Ksiądz odetchnął z ulgą.

Wpadł do karczmy i usiadł przy ładzie, wodząc wzrokiem za szynkarką. Ona zbliżyła się z lękiem, wspominając potopione szczury i jego dziwną grę. Zapytała, czego sobie życzy, a on ujął jej dłoń i spojrzał w oczy tym dziwnym, lekko pytającym spojrzeniem, na które czekała. Bez słowa powiódł ją po schodach na górę. Szła nie opierając się i również nic nie mówiąc, by nie burzyć atmosfery chwili. Stał za jej plecami, tak blisko, że czuła na swoim ciele napięte mięśnie ud i brzucha, silne ramiona obejmowały ją, i ogarnęło ją jedno omdlewające pragnienie: mieć go jeszcze raz. W tym samym momencie duża dłoń zakryła jej usta, coś metalicznie błysnęło w mroku, coś zimnego dotknęło jej szyi. Serce kobiety zatrzepotało i podeszło do gardła.

– A teraz powiesz mi, kochana, gdzie jest wasz wielebny – wyszeptał jej do ucha Szczurołap. – Słucham – powiedział, odsłaniając szynkarce usta.

– W Hano... w Hanowerze – wydusiła. – Musisz uciekać. Chce cię poszczuć inkwizycją. Wszyscy chcą.

– Ty też?

– Nie.

– Widzisz, jak ładnie? – zapytał składając na jej policzku pocałunek. Poczuł, że jej skóra jest wilgotna i słona od łez. Rozgniewało go to, odepchnął ją i zbiegł po schodach. Została sama w ciemnym korytarzu, ocierając twarz brudnym fartuchem.

Od tamtej pory nikt go nie widział. Festyn świętych Pawła i Jana przyćmił dziwne wspomnienie nagiego grajka. Miasto było barwne i zatłoczone, drobni rzemieślnicy zacierali ręce licząc na wysokie obroty handlu. Nikt nie zwrócił uwagi na człowieka w stroju myśliwego, który szedł, torując sobie drogę łokciami. Tylko mały Jonas przypatrywał mu się pilnie. Uważał, że w zarośniętej twarzy jest coś dziwnego, coś niedobrego. Słońce wpadało w metalicznie szare oczy, czyniąc je jeszcze chłodniejszymi i agresywnymi. Twarz wyrażała lodowaty gniew. Strój myśliwego jakoś nie pasował, Jonas wyobrażał sobie dziwnego pana w barwnych szatach błazna.

Mężczyzna kierował się wprost na rynek. Może był kuglarzem? Nie, nie miał ze sobą niczego, czym dałoby się żonglować. Chował w dłoni coś małego, podłużnego. Jonas postanowił śledzić myśliwego, wyobrażał sobie, że jest inkwizytorem i że tropi czarnoksiężnika. Zły człowiek wtargnął na podwyższenie pośrodku rynku, zrzucając połykaczy ognia. Nerwowo odgarnął włosy z czoła i przytknął do ust to, co dotychczas chował w dłoni. Całe miasto usłyszało dźwięk tak świdrujący, że powietrze zdawało się pękać i rozpadać. Tłum obrócił wielotysięczną głowę w kierunku grajka.

– Podziękujcie Jego Ekscelencji! – wykrzyknął z nienawiścią. I nie mówiąc nic więcej zaczął grać. Melodia przepełniona była gniewem, goryczą i ponurą złością.

– Gdzie jest biskup? – rozległy się szepty, najpierw pojedyncze, potem głosy pytających mnożyły się i przybierały na sile.

– To Szczurołap! – wykrzyknął ktoś, kto zrozumiał.

Jonas niewiele z tego pojmował. Zasłuchał się w gorzkiej melodii fletu. Nigdy takiej nie słyszał. Już nie chciał palić mężczyzny na stosie. Chciał iść za nim i słuchać gry. I tak też zrobił, bo grajek zeskoczył z podestu i poszedł w kierunku zachodniej bramy, a za nim poszedł tłum dzieci, kolegów i koleżanek Jonasa: gruba Odda i głupi Hans i najlepszy przyjaciel Jonasa, Filip. Chłopcy pomachali sobie radośnie, pokazując palcami muzykanta. Zdezorientowani dorośli przez moment stali w zdumieniu. W następnej chwili przypomnieli sobie los szczurów i zrozumieli wszystko. Kobiety z wrzaskiem rzuciły się w pogoń za swoimi dziećmi, przypadały do nich ze szlochem. Dzieci nie rozpoznawały swoich rodziców, nagle nadludzko silne wyrywały się z ich histerycznych uścisków i uciekały do pana, który tak pięknie grał na flecie i który biegł coraz szybciej na zachód. Dzieci Hameln przyspieszały więc kroku wraz z nim, zostawiając zrozpaczonych, niezdarnych rodziców w tyle. Jonas czuł się wolny, wolny, nie musiał martwić się, co mama powie, gdy rozedrze sobie ostatnie spodnie, nie musiał martwić się o młodsze rodzeństwo kwilące w kołyskach: zapomniał kto to matka i ojciec, nie pamiętał o małych siostrach, nie pamiętał już o ich i swoim głodzie. W głowie miał tylko muzykę i tego człowieka, który przestał być brzydki i straszny a stał się fascynujący. Może to był święty Jan, albo Paweł? Jonas poczuł na stopach chłodne liźnięcie wody, która, jak muzyka, pochłaniała go coraz bardziej. A gdy wchłonęła go zupełnie, usłyszał ostatnią nutę, taką specjalnie dla niego.

Autor: Osanna

Nadesłano do „Wolnych Mediów”